

TRZYSTU SZESNASTU CICHOCIEMNI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

27 marca 2011 nr 13 | Kraków
DODATEK SPECJALNY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”
Redakcja: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak

70 lat temu, w nocy z 15 na 16 lutego 1941 roku, nad okupowaną Polską wyskoczyła z samolotu pierwsza ekipa „cichociemnych”. Pierwsza trójka z grona starannie wybranych żołnierzy, którzy mieli wesprzeć walkę w okupowanym kraju. Oto opowieść o ludziach, którzy – jak mówił gen. Kazimierz Sosnkowski – mieli być „strażą przednią” wyzwolenia Polski.

PATRYCJA BUKALSKA
→ STR. II

Dodatek powstał
we współpracy
z Instytutem
Pamięci
Narodowej



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Szkolenie spadochronowe „cichociemnych”
w Wielkiej Brytanii. Na zdjęciu: skoczek po lądowaniu.

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



CICHOCIEMNI

Cd. ze str. I

Tymi pierwszymi, którzy zostali zrzućeni do kraju w nocy z 15 na 16 lutego 1941 r., byli major Stanisław Krzymowski – pseudonim „Kostka”, rotmistrz Józef Zabielski – pseudonim „Żbik” i kurier polityczny Czesław Raczkowski – pseudonim „Orka”. Później skakali następni, aż do grudnia 1944 r. W Polsce służyli w wywiadzie, dywersji, partyzantce. Kilku-dziesięciu wzięło udział w Powstaniu Warszawskim.

Byli elitą. Organizowali, dowodzili. Stale w ruchu, stale w napięciu. Musieli przezwyciężać strach, nie wpadać w panikę, radzić sobie w każdej sytuacji.

Byli ich w sumie trzystu szesnastu. Ponad jedna trzecia z nich zginęła podczas wojny lub po niej – z rąk Niemców, a potem Sowietów i polskich komunistów.

Bluzka

Wstążka jest kremowo-biała. Na jednym końcu nieco szersza, ale równo obszyta. Wiążąc nią włosy, trzeba mocno je okręcić, inaczej jedwab się zsuwa. Wstążka wisi w mojej szafie. Noszę ją 1 sierpnia. To prezent od Janiny Kazimierskiej-Herman, która od swojego męża Kazimierza dostała kiedyś spadochron. „Janeczko, może uszyjesz sobie bluzeczkę?” – powiedział do żony wtedy, w 1942 r., gdy wrócił do domu z kolejnej akcji. Mąż, członek AK, na placówce pod Łowiczem przejmował skocz-ków, a czasem na własnych plecach przenosił ich później przez nurt Bzury. Pewnego dnia wyszedł, jak zawsze – i nie wrócił.

Materiał był mocny, cenny. Janina uszyła bluzkę u krawcowej, w warszawskim zakładzie przy ul. Towarowej 20. Bluzka była delikatna, z mnóstwem guziczków obleczonego materiałem. Kojarzyła się jej z miłością. Dlatego włożyła ją, gdy szła walczyć w Powstaniu Warszawskim. Mówiła, że w niej chciała umrzeć – jak wcześniej umarł ukochany mąż i synek. Ale przeżyła. Zmarła dwa lata temu.

Bluzka przetrwała wojnę i dziś znajduje się w zbiorach Muzeum Powstania Warszawskiego. Wstążka z pozostałego kawałka materiału – jest u mnie. Skrawek spadochronu, skrawek jednej z wielu historii – o odwadze, miłości i nadziei.

Na każdą z tych historii składały się losy wielu osób: skoczka, jego instruktorów, przejmujących go akowców, „ciotek” (tak nazywano zespoły kobiece, które uczyły go życia pod okupacją), pilotów samolotów. Nad jedną misją pracowało wielu ludzi. Wszyscy ryzykowali, w tym samym celu – żeby wygrać wojnę.

Pierwszy skok

„Było nas trzech. Szliśmy do samolotu rażno i wesoło, jakbyśmy mieli odbyć najwzajemniejszy lot pasażerski. Zimowy wieczór zapadał szybko nad Anglią po dniu nieco mroźnym i wietrznym. Wiatr ustał i niebo było zaścienione chmurami. Czas odlotu odpowiedni. Pogoda niezła” – pisał we wspomnieniach Józef Zabielski, zrzucony w pierwszej grupie „cichociemnych”.

Zabielski miał wtedy prawie 40 lat. Czyli, jak na ówczesne standardy, był panem w średnim wieku – „cichociemni” mieli zwykle po dwadzieścia kilka, trzydzieści lat. Zabielski był też doświadczonym żołnierzem: brał udział w wojnie 1920 r., jako ochotnik. Po klęsce wrześniowej w 1939 r., a potem po upadku Francji trafił z jednostką pancerną gen. Maczka do Szkocji. Potem pojawiła się szansa na powrót i służbę w okupowanej Polsce.

Do skoku podchodził dwukrotnie. Za pierwszym razem, w grudniu 1940 r., ekipa siedziała już w samolocie i cieszyła się na święta Bożego Narodzenia w Polsce, gdy okazało się, że nie starczy paliwa na powrót. Kolejna próba – tym razem udana – nastąpiła w lutym 1941 r.

„O czym myślimy? – pisał Zabielski, rekonstruując później swoje przeżycia. – Pamięć cofa się, jak samochód nagle pchnięty zderzeniem. Przeszliśmy przed lotem tylko sześciotygodniowy kurs. Właściwie nie mieliśmy szkolenia. Myśl goni myśl. Jesteśmy pierwsi zrzutkowie. Chodzę po samolocie, choć chcę

się od tego powstrzymać. Widzę zgiętego nawigatora. Z boku bombowca świeci się małe światło. Skąpe”.

I dalej: „Czas terazniejszy płacze mi się z przeszłym, a nawet z zaprzyszłym, chociaż wiem, że panuję nad sobą. Czuję brak okna w samolocie. Piloci poinformowali nas, że akurat przelecieliśmy Kanał [La Manche]. Jest ogromnie ciemno. I teraz – właśnie teraz – przychodzi do głowy dziwaczna myśl: uczono nas na wszystkich kursach skakać przez dziurę w dnie samolotu. A tu raptem, kiedy mamy za kilka godzin odbyć nasz właściwy bojowy skok, okazuje się, że ten samolot nie ma dziury w podłodze. Po co nas uczono skakać przez dziurę?”

Kolejną niespodzianką był przenikliwy chłód w samolocie. Zabielski oceniał, że fakt, iż w chwili skoku był zgrabiący z zimna, odebrał mu 25 proc. jego sprawności fizycznej. Skakał zimą, na ziemię skutą mrozem – i nogi ugrzęzły mu w zlodowaciałym śniegu. Skutek: złamanie, w kilku miejscach.

To wszystko jeszcze było jednak niczym wobec faktu, że skocz-ków zrzucono omyłkowo nie nad Generalną Gubernią (planowo mieli lądować koło Włoszczowej), ale pod... Cieszy-nem, na terenach wcielonych do Rzeszy. Nikt na nich nie czekał, a oni nie mieli początkowo pojęcia, gdzie się znaleźli. W pobliskiej gospodzie trafili na Niemców. Sami więc udając Niemców, jakoś dojechali do Bielska. Ze względu na połamane nogi Zabielski został w niemieckim hotelu, sporo ryzykując. Potem, z przycgodami, przedostał się do Generalnej Guberni.

W Polsce spędził kilkanaście miesięcy, z przydziałem do dowództwa Okręgu Kieleckiego ZWZ-AK. W 1942 r. jako emisariusz Komendy Głównej AK wrócił do Anglii drogą lądową: przez Niemcy, Szwajcarię, Francję, Hiszpanię i Portugalię. Miał litewski paszport. Ze swojej podróży złożył raport, pełen tak drobiazgowych informacji, jak czas postoju pociągu na stacjach, możliwość rewizji itd. Kilkakrotnie przedostawał się przez „zielone granice”, skakał z pociągu, zmieniał wygląd.

To tylko jedna historia, opowiedziana w skrócie – wielu „cichociemnych” mogłoby opowiedzieć podobne. Dlatego, choć pierwsza ekipa szkolona była krótko, później selekcja kandydatów i ich szkolenie były już bardziej surowe.

Kandydat

Galęzie winorośli, otulające przejście do willi, są jeszcze suche; nie czuć zbliżającej się wiosny. Inaczej ptaki, one coraz śmieiej odzywają się w ogrodzie. W domu oszalał zapach kwitnących hiacyntów nie pozostawia wątpliwości, że zima się kończy.

Stefan Bałuk, jeden z ostatnich żyjących dziś „cichociemnych”, siada w fotelu. Na kominku obok rodzinne zdjęcia (wśród nich z księciem Karolem). – Moja wizytówka – mówi gospodarz. Pod nazwiskiem i stopniem wojskowym (generał brygady w stanie spoczynku) widnieje jedno słowo: „cichociemny”. Przynależność, która zmieniła jego życie i zadecydowała o losach wojennych i późniejszych.

Choć i wcześniej – od 6 września 1939 r., kiedy zgłosił się na ochotnika do batalionu pancernego w Lublinie – nie było to życie banalne. Aresztowania przez Sowietów, ucieczka z okupowanego kraju na Węgry, długa droga do polskich wojsk we Francji, a potem Wielkiej Brytanii... Już jako „cichociemny” (w stopniu podporucznika) wziął udział w Powstaniu Warszawskim. Zrzucony został niewiele wcześniej, bo w kwietniu 1944 r. – jakby on, warszawiak, miał wrócić na czas do swojego miasta.

Powstanie to jednak inna opowieść. Dziś Stefan Bałuk, rocznik 1914, opowiada o tym, jak trafił do elitarniej grupy, która miała „podpalić Europę”.

– Oficerowie przeznaczeni do służby w kraju byli wybierani spośród najlepszych, najbardziej inteligentnych – wspomina. – Faktycznie liczył się tu mózg i to inteligencja decydowała o dalszych losach. Selekcja była natomiast bardzo surowa, ponieważ z tych około 2400 ochotników kurs z pozytywnym wynikiem skończyło tylko ponad 600. A spośród nich 540 zostało przeznaczonych do służby w kraju i czekało na swoją kolejną zrzutu. Jak wiadomo, w czasie wojny skoczyło 316, w tym jedna kobieta, Elżbieta Zawacka.

Propozycja

Rekrutacja zwykle wyglądała tak: kandydatom, uważnie wcześniej obserwowanym, składano propozycję podczas objętych tajemnicą rozmów na osobności. Zwykle mieli niewiele czasu na

Warszawa

12 kwietnia 2011 r.
Prezentacja albumu „Generał Leopold Okulicki” oraz „Zeszytów Historycznych WIN-u”, dedykowanych Januszowi Kurtyce.

Kraków

8 kwietnia 2011 r.
Odsłonięcie tablicy pamiątkowej

15–16 kwietnia 2011 r.
Konferencja naukowa: „Janusz Kurtyka – Rzeczypospolitej historyk i urzędnik”

więcej na www.ipn.gov.pl

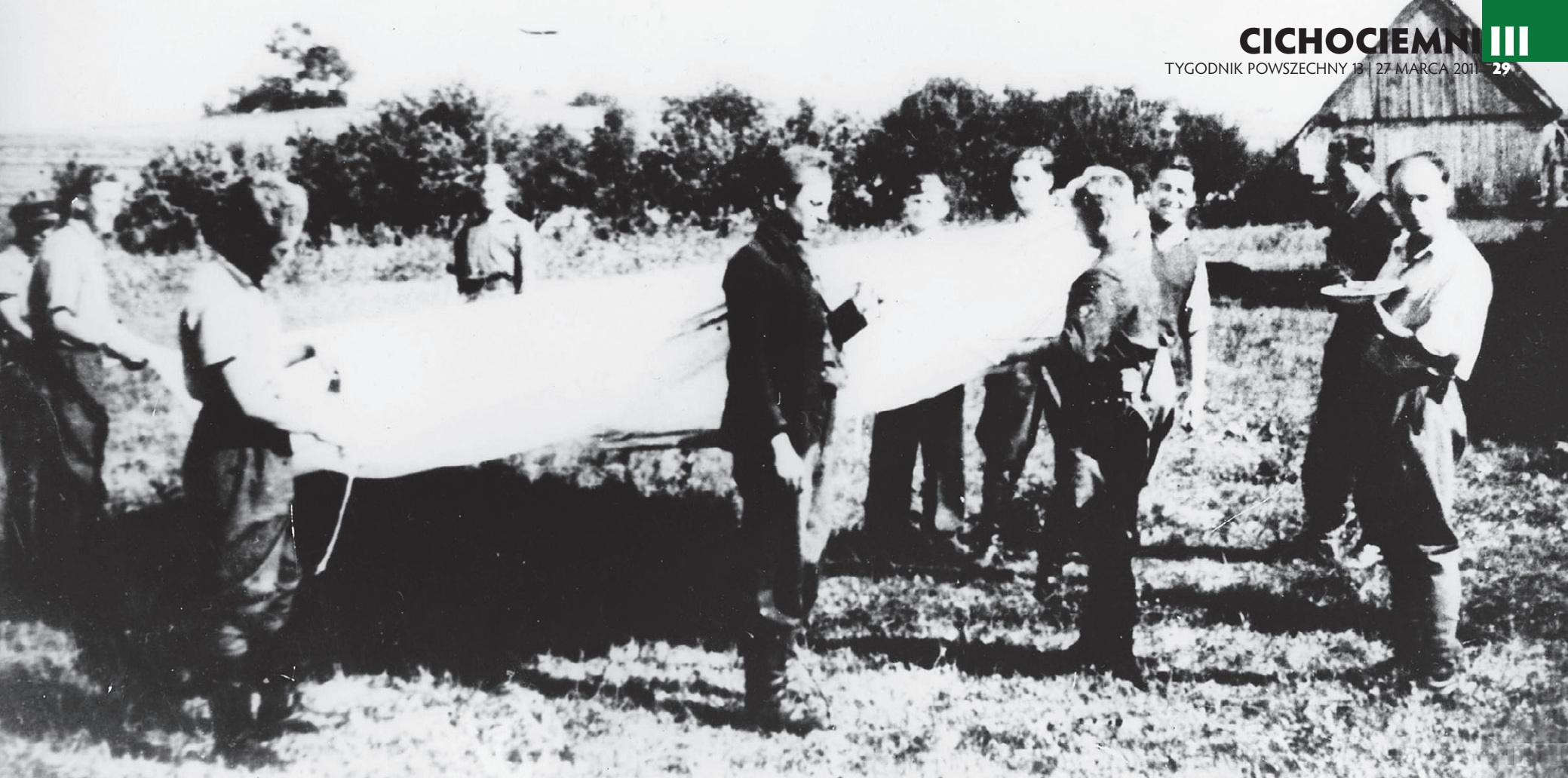


INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Pamięci Prezesa IPN
prof. Janusza Kurtyki





Jedno z niewielu zdjęć, pokazujących lądowanie „cichociemnych” w Polsce: żołnierze AK przyjmują skoczków na placówce „Rozmaryn” w Okręgu Kielecko-Radomskim AK; wrzesień 1944 r. Od prawej: skoczek ppor. Zenon Sikorski „Pożar” (z talerzem), skoczek plut. Kazimierz Śliwa „Strażak”, żołnierz 1. kompanii 4. Pułku Piechoty Legionów AK „Tommy” (Anglik, uciekinier z oflagu), Jan Ogrodnik „Jasiu”, Eugeniusz Jakubek „Wacek”, NN, NN, Andrzej Borkowski „Sławek”, Jerzy Kisiel „Ciapa”, Mieczysław Szumilewicz „Mietek”, NN.

podjęcie decyzji. I zwykle się nie wahali. Służba w kraju wydawała się nie tylko obowiązkiem, ale też ekscytującą możliwością.

Kazimierz Człapka skoczył do Polski w lutym 1943 r. Zanim został „cichociemnym” i zanim w ogóle trafił na szkolenie, służył w polskim lotnictwie w Wielkiej Brytanii. Tak opisywał moment rekrutacji: „Któregoś z takich dni dowódca eskadry mijając mnie na wybiegu, nie poprzestał na potrząśnięciu prawą dłonią z wyprostowanym kciukiem, co – według przyjętego obyczaju – oznaczało powitanie, ale zawołał, abym na chwilkę wpadł do niego do kancelarii. (...) Musiałem na niego chwilę zaczekać. Gdy tylko wszedł, walnął mnie w łopatkę (miał cholernie silną rękę) i od razu, bez żadnych wstępów, zapytał, czy chcę lecieć do Polski. Odpowiedziałem pytaniem: »Czemu nie?«. To go widocznie trochę rozzłościło (w tych czasach każdy »wódz« był dbały o pełny stan liczebny swej jednostki), bo kazał mi się jeszcze przez parę minut namyślić. Myślałem więc – tak jak mi kazał – i odpowiedziałem po raz drugi: »Czemu nie?«. Wtedy machnął z rezygnacją ręką i na tym się skończyło”.

Minęło trochę czasu. Człapka wspominał: „Aż pewnego dnia wezwano mnie do Londynu. Tu dopiero wyjaśniło się, o co chodzi. Chodziło mianowicie o to, aby na starym gracie, Whitleyu [brytyjski typ bombowca, służący także jako samolot transportowy – red.], polecieć do Polski, zrzucić tam jakiś – bardzo ponoć cenny – sprzęt i samemu... również wyskoczyć. (...) W pierwszej chwili aż mi z emocji włosy stanęły dęba. To mi dopiero nowina! Gdy się jednak bliżej zastanowiłem nad propozycją, wydała mi się niezwykła i pociągająca. Toteż odpowiedziałem uradowany: OK!”.

Sukces, czyli głowa

Po przyjęciu propozycji rozpoczynało się forsowne szkolenie. Stefan Bałuk wspomina: – Rano, przed śniadaniem, odbywaliśmy bieg na kilkanaście kilometrów. Tak się rozpoczynał nasz dzień, a wstawaliśmy o 6.30 rano. Zanim dostaliśmy śniadanie, musieliśmy się namęczyć, żeby te kilometry przebiec. Nie była to zabawa. Mało tego, te wszystkie kursy, wysadzania mostów, robienia dywersji, to wszystko było zorganizowane w taki sposób, żeby jak najbardziej ćwiczyć także ciało.

Ale chodziło nie tylko o sprawność fizyczną. Bałuk: – W całej służbie „cichociemnych” o sukcesie decydowała głowa. Pierwsze słowa, jakie usłyszeliśmy od pułkownika Stefana Mayera, kiedy nas przyjmował do szkoły oficerów wywiadu, brzmiały: „Pamiętajcie, że oficer wywiadu, kiedy sięga po broń, to kończy się jako oficer wywiadu. Wy macie mózg i mózgiem musicie pracować”.

– Budzono więc nas w środku nocy i pytano, jak się nazywasz. Bo przecież po przejściu przez wydział legalizacji otrzymaliśmy nowe, fałszywe nazwisko i zawód – wspomina Stefan Bałuk. – Mało tego, byliśmy także poddawani tzw. kursom specjalnym, które polegały na tym, że wywożono nas do lasu i zostawiano ze scyzorykiem w ręku i tak musieliśmy przez tydzień przeżyć.

„Cichociemni” w liczbach

- 2413** kandydatów przyjęto na kurs szkolenia „cichociemnych”
- 605** żołnierzy ukończyło kurs
- 579** zakwalifikowano do skoku
- 316** zrzucono do Polski
- 112** zginęło (w tym 9 podczas lotu lub na skutek wypadku podczas skoku, 10 zażyło truciznę po aresztowaniu przez gestapo, 9 padło ofiarą mordów sądowych w PRL)
- 91** brało udział w Powstaniu Warszawskim (18 z nich zginęło)
- 221** otrzymało order Virtuti Militari, najwyższe polskie odznaczenie czasu wojny



W 1940 r. w Ringway pod Manchesterem powstał polsko-brytyjski ośrodek spadochronowy. Tam kandydaci na „cichociemnych” przechodzili kurs spadochronowy.

Stefan Bałuk: – Oczywiście, otrzymywaliśmy tam też zaprawę fizyczną, której częścią była słynna przewrotka. Trzeba ją było zwykle zrobić po skoku. Do ćwiczeń służyła tzw. huśtawka, na której żołnierz siadał, był rozkołysany, a w pewnym momencie wszystko się urywało i leciało się na ziemię, robiąc właśnie te wszystkie przewrotki...

„Małpi gaj”

Inny kandydat, Leszek Starzyński, tak wspomina moment, kiedy dowiedział się o zwyczajach panujących w tym „małpim gaju”:

„Przed samym odjazdem Kazik, stary spadochroniarz, dawał mi ostatnie rady.

– W »małpim gaju«, uważasz, jest taki cholerny przyrząd; nazywa się trapez opuszczany. Przywiązują cię do trapezu, ty się huśtasz, a instruktor kręci korbą i winduje cię do góry. Jak cię już dobrze podkręci, to się pyta, czy widać Leven. Jak mu powiesz, że jeszcze nie widzisz, on kręci dalej. Jak mu powiesz, że miasto widzisz jak na dłoni, on wtedy krzyczy: »G...o pan widzisz!« i też nie przestaje kręcić. Jak już wyżej nie można, puszcza korbę, a ty lecisz w dół.

– Lecę w dół?! A na czym się ląduje?

– Na czym? Na pysku, oczywiście. Chyba że instruktor ćwiczy lądowanie do tyłu. Wtedy lądujesz nie na pysku, ale...

– Rozumiem. Ale co mam mówić, gdy instruktor się pyta, czy widać Leven?

– Wszystko jedno co. Instruktor i tak nie słucha.

– No, to po co ty mi to wszystko mówisz?

– Żebyś wiedział! – objaśnił mnie Kazik”.

Podczas szkolenia nie obywało się bez kontuzji. Zdarzały się złamanie, a nawet wypadki śmiertelne. Niektórzy z kandydatów sami się wycofywali, niektórych uznawano za zbyt nerwowych. Droga do skoku był długa i bolesna.

Starzyński wspomina, że Anglicy na skoki wkładali poduszki między kombinezon a spodnie. On też chciał, ale okazało się, że Polakom nie wypada szukać takiego komfortu: „Gdyby był oficjalny zakaz, może bym sobie coś takiego skombinował, ale skoro »nie wypada« – to trudno. Trzeba cierpieć”.

Archiwum

Londyn, luty 2011 roku.

Studium Polski Podziemnej mieści się przy Leopold Road w zachodnim Londynie. Malowniczy, późnowiktoriański dom otoczony jest niedużym ogródkiem, w którym mimo trwającej jeszcze zimy zaczynają odzywać się ptaki.

Przez okno archiwum widać trawnik, nęcący zielenią i świeżością. Na półkach setki teczek i dokumentów, zbiory fotografii. Wśród nich – osobiste teckki „cichociemnych”. I tych legendarnych, jak Adam Pług „Borys” (twórca słynnego batalionu „Parasol”) czy Jan Piwnik „Ponury” (dowódca partyzantów z Gór Świętokrzyskich, a potem spod Nowogródka), i tych mniej znanych.

W teczkach – przebieg służby, pokwitowania, notatki o depozycie (stąd wiemy, że Pług zostawił w Anglii pelerynę gumową i buty z cholewami). A także opis charakteru żołnierzy. Na przykład Pług: „Lubi być i rozmyślać sam”. Piwnik: „Zdecydowany, o pełnej determinacji i b. wysokim idealizmie”. Niektóre adnotacje mogą dziś wydawać się nawet zabawne, jak te o zaliczce w związku z „podróżą do Kraju drogą lotniczą” – gdy wiemy już, co to była za podróż i jaka droga (słowo „Kraj” pisano wtedy zwykle wielką literą).

O najsłynniejszych „cichociemnych” – jak Jan Nowak Jeziorański czy Kazimierz Iranek-Osmecki – wiemy dużo; można znaleźć o nich obfite informacje biograficzne, choćby w internecie. O innych, takich jak młodziutki plutonowy Kazimierz Człapka, który na propozycję skoku do Polski wzruszył ramionami i odpowiedział: „OK!”, możemy właśnie z tych dokumentów dowiedzieć się więcej.

Są też zdjęcia. Na zdjęciu w archiwum Studium Polski Podziemnej młody chłopak: szczupła twarz, odstające lekko uszy. Człapka miał wtedy dwadzieścia parę lat. Opinia o nim: „Inteligentny, karny, lojalny. W warunkach bojowych spokojny i opany. Patriotyzm bez zastrzeżeń. Ogólnie b. dobry”.

Człapka brał udział w kampanii wrześniowej, potem trafił do obozu internowanych na Węgrzech, przedostał się do Anglii. Do Polski skoczył 20 lutego 1943 r., wylądował w okolicach Opoczna. Wcześniej, 11 lutego, podpisał deklarację następującą: „Zobowiązuję się słowem honoru, że do końca wojny: →



„Cichociemni” podczas szkolenia w Wielkiej Brytanii, lata 1942–1944. Na zdjęciu z lewej: por. „Starba” – Stefan Bałuk i kpt. „Łobuz” – Benon Łastowski. Z prawej: sprawdzian przetrwania w lesie bez żywności, tzw. „kurs korzonkowy” – przygotowywanie posiłku z królika.

CICHOCIEMNI

Cd. ze str. III

➔ zachowam całkowitą tajemnicę co do drogi, jaką przerzucony zostaną do Kraju. Nie będę nadużywał alkoholu. Przyjmę każdy zaproponowany mi w Kraju przydział?”

Walka

W Polsce przydziałem Kazimierza Człapki okazała się praca radiotelegrafisty. „Do tej pracy nigdy nie było wielu amatorów, bo szkolenie trwało długo i było nudne, a potem codzienna, nieefektywna praca, bez jakichś widocznych wyników. (...) W rzeczywistości praca nasza nie była bynajmniej pozbawiona dreszczu emocji, nadziei i spieć, jak praca każdego żołnierza. Bo czyż nie daje specyficznej satysfakcji świadomość, że jest się ciągle tropionym, najbardziej poszukiwanym przez wywiad wroga? Pewność, że telegrafści niemieccy siedzą bite 24 godziny na podsłuchu, że Gestapo zawsze trzyma w pogotowiu specjalny oddział pościgowy? I wreszcie: że to do ochrony mojej radiostacji i mojej »cennej osoby« jest zawsze gotowy nasz oddział, by mnie ostrzec na czas lub przyjąć walkę jako ostateczne rozstrzygnięcie?” – napisał Człapka we wspomnieniach.

Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, podobnie jak wielu „cichociemnych” był akurat w stolicy. Obsługiwał radiostację na warszawskim Żoliborzu. Człapka: „W okresie Powstania roboty miałem masę. Było nas tylko trzech telegrafistów na cały Żoliborz, a dyżurować musieliśmy całą dobę. Zaledwie co trzecią noc każdy z nas mógł się przespać 6 godzin. Mimo wszystko czulem się szczęśliwy, że mogę walczyć na polskiej ziemi”.

„Zostałem ranny, szedłem przez kanały, grzebałem w ruinach, by wydobyć ciała poległych kolegów, którzy nie napiszą nic o swoich przeżyciach” – dodawał.

30 września 1944 r., kiedy padł Żoliborz, Człapka razem z innymi powstańcami trafił do niewoli. Gdy jego obóz jeniecki został wyzwolony, 11 maja 1945 r. stanął się na nowo w Oddziale VI [Specjalnym – red.] Sztabu Naczelnego Wodza, gotowy do dalszej służby. Ale trafił do lotnictwa, już nie do Polski.

Rysunek

W jego teczkach, w archiwum przy Leopold Road, znajduje się list napisany starannie na cienkiej bibułce pod koniec sierpnia 1945 r. „Czołem Panie Majorze – melduje się w nim Człapka. – Zostałem wreszcie wciągnięty do RAF, lecz nie jako »latający«, lecz jako »ziemny«. Stanę się znów latającym po kursie odświeżającym. W międzyczasie dostałem dowództwo plutonu (160 ludzi) byłych jeńców wojennych. Sami chorążowie, no i trochę się boję tego, ponieważ są tam również starzy moi instruktorowie oraz koledzy. Postaram się, aby jakoś to szło”.

List ozdobiony jest wizerunkiem pikującego orła, precyzyjnie naszkicowanego ołówkiem i piórkiem – to znak spadochronowy, ustanowiony w 1941 r. przez Naczelnego Wodza generała Władysława Sikorskiego. Sikorski powiedział wtedy z patosem: „Gdy przyjdzie chwila, jak orły zwycięskie spadniecie na wroga i przyczynicie się pierwsi do wyzwolenia naszej Ojczyzny”.

Patrząc, z jaką starannością na rysunku sprzed 66 lat Człapka naszkicował orła, można sądzić, jak ważny był dla niego ten list. Może brakowało mu słownego dowódcy, może trudno mu było odnaleźć się w powojennej już Anglii, która – podobnie jak in-

ni zachodni alianci – nie miała zamiaru walczyć dalej o wolność Europy Środkowej? Ale chyba postanowił specjalnie się nad sobą nie rozczulać: „Postaram się, aby jakoś to szło”.

Człapka wydaje się modelowym „cichociemnym”: młody, bystry, nieznośny monotonii, chętnie podejmujący wyzwania. A także pełen energii, wiary, humoru i, również, wrażliwości.

Gryps

„Cichociemny” przechodził z rąk do rąk od chwili naboru w Wielkiej Brytanii aż do końca wojny. Także powrotna podróż ładowa Zabielskiego, z Polski do Londynu, choć nadzwyczajna, nie mogłaby się odbyć, gdyby nie łącznicy i przwodnicy. Człapka sam wspomina o akowcach, gotowych walczyć w obronie jego i radiostacji.

Czasem byli to ludzie nieznani, anonimowi. Czy któryś z „cichociemnych” zapamiętał męża Janiny Kazimierskiej, który przeprowadził ich przez Bzurę? A czasem – najbliżsi. Jak żona Józefa Zabielskiego, Wanda, która trafiła na Pawiak. Niemcy chcieli wiedzieć jedno: gdzie jest jej mąż. Nie powiedziała.

Trudno sobie wyobrazić, jak czuł się Zabielski, czytając gryps od żony z Pawiaka, przemycony przez podziemie i adresowany do jej współpracowników w AK: „Zawiadomcie męża, żeby ukrył się choć pod ziemią. Szukają go i za wszelką cenę chcą go dostać. Wyznaczona została nagroda pieniężna za jego głowę. Gestapo rozesłało za nim listy gończe i fotografie po całej Polsce. Widziałam to wszystko w czasie pierwszego mego badania. Błagam, ukryjcie syna, on jeden musi żyć – został sierotą. Badali mnie w Gestapo w alei Szucha. Przez trzy dni bito mnie, jestem cała sina. Chcieli koniecznie dowiedzieć się, gdzie jest mój mąż. Nie zdołali mnie złamać. Zakładano mi na głowę stalowy hełm wywołujący straszliwy ból. Wyrzynam wszystko, jeżeli mąż nie da się złapać. Jeżeli on wpadnie, nie odpowiadam za siebie i mogę się załamać. On musi żyć dla Januszka [syna]”.

Nie pomogły starania podziemia i łapówki wręczane gestapowcom. Nie udało się wyciągnąć Wandy. Po strasznych przesłuchaniach trafiła do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie wkrótce zmarła. Zabielski przeżył wojnę.

Wiadomość

Możliwość spotkania z bliskimi po kilkuletnim rozstaniu była z pewnością motywacją – czy może nagrodą – dla wielu „cichociemnych”. Wprawdzie nawiązywanie kontaktów z ludźmi z dawnego życia było zabronione, ale w szczególnych sytuacjach można było uzyskać specjalne pozwolenie dowództwa.

Dostał je także Stefan Bałuk. Chciał dowiedzieć się czegoś o żonie, z którą pożegnał się w Polsce we wrześniu 1939 r. Wspomina: – W Anglii nie miałem o niej żadnej wiadomości. Wzięliśmy ślub 6 września 1939 r., a zaraz po ślubie, po apelu, aby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni opuścili Warszawę, ruszyłem na piechotę w kierunku Lublina. Kiedy szykowałem się do skoku, zabrałem ze sobą swoje oszczędności z Anglii i swoją odprawę. Miałem tyle gotówki, że mogłem całą moją rodzinę w Polsce utrzymać. Kiedy jednak zobaczyłem się z moim ojcem, na podstawie specjalnego zezwolenia, dowiedziałem się, że moja żona ma już innego męża i córkę – opowiada zwięźle. – Wtedy stałem się obojętny na wszystkie inne rzeczy...

Nawet jeśli na „cichociemnego” nie czekały tak dramatyczne wiadomości, powrót do Polski był szokiem: po kilku latach niemieckiej okupacji (a na Kresach, wcześniej, także sowieckiej) było to inne miejsce. Nieporównywalne nie tylko z tym,

co zostawiali w 1939 r., ale także z w miarę komfortową służbą w Wielkiej Brytanii. Funkcjonując w okupowanym kraju, żyli w nieustającym napięciu, ciągle z ryzykiem fatalnego błędu – tak wyglądała ich codzienność.

Pomoc „ciotek”, kobiet, które wprowadzały skoczka w okupacyjne realia, była nieoceniona. Musiały zajmować się one nie tylko kolejnymi „cichociemnymi”, ale także nieustająco organizować im bezpieczne lokale, wyżywienie, ekwipunek.

Służba

Służyli na całym terytorium okupowanej Polski – kto i gdzie, o tym można przeczytać w książkach, a także na kilku poświęconych im stronach internetowych. Niektórych rozkaz rzucał aż poza Kresy Wschodnie – poza granicę polsko-sowiecką z 1939 r. – gdzie pracowali, w Mińsku albo Kijowie, w strukturze wywiadowczo-dywersyjnej pod nazwą „Wachlarz”. Podczas Powstania Warszawskiego walczyło aż 91 „cichociemnych”, czyli niemal jedna trzecia wszystkich skoczków.

Wykonywali bardzo różne działania: od wywiadu po dywersję i walkę partyzancką, w której zwykle dowodzili większymi zgrupowaniami partyzanckimi. Byli, jak byśmy to dziś powiedzieli, profesjonalnie wyszkolonymi żołnierzami do zadań specjalnych. W jednej z AK-owskich depech, dotyczących „zapotrzebowania” na kolejnych „cichociemnych”, czytamy: „Proszę o kolejność zrzutów ludzi: 1 – kierowników i wykonawców, specjalistów dywersantów, 2 – wyszkolonych oficerów wywiadu, 3 – oficerów sztabu oraz specjalistów do dowództw krajowych”.

Wraz z nimi do Polski trafiał także, na potrzeby podziemnej walki, sprzęt (w sumie alianci zrzucili dla AK około 670 ton sprzętu). A także pieniądze: w specjalnym pasie noszonym przez skoczka mieściło się 40 tys. dolarów, przeznaczonych dla AK.

Ale, prócz tego wszystkiego, znaczenie „cichociemnych” miało także wymiar moralny. General Kazimierz Sosnkowski, Naczelnny Wódz w latach 1943–44, tak żegnał się ze skoczkami: „Idziecie jako straż przednia do Kraju. Macie udowodnić, że łączność z Krajem jest w naszych warunkach możliwa”.



Po wojnie na Zachodzie ponownie znalazło się ponad 80 „cichociemnych”; niektórzy wracali potem do Polski, począwszy od drugiej połowy lat 50.

Ci, którzy bezpośrednio po wojnie zostali w kraju, byli narażeni na komunistyczne represje, aresztowania i śmierć – ostatnia śmiertelna ofiara na liście poległych i zamordowanych „cichociemnych” to więzień, który zmarł w mokotowskim więzieniu w 1953 r. Jako ostatni z nich wolność odzyskał Adam Borczyka, pierwszy szef Kedywu (Kierownictwa Dywersji) Okręgu Wilno AK, a potem kurier WiN-u: była już połowa lat 60.

Ci, którzy dziś jeszcze żyją – a jest ich zaledwie kilku – i którym stan zdrowia na to pozwala, starają się spotykać co roku, w rocznicę pierwszego skoku. **PATRYCJA BUKALSKA**

● Korzystałam z antologii „Drogi Cichociemnych” oraz książki Stefana Bałuka „Commando Cichociemni”, a także z zasobów archiwum Studium Polski Podziemnej w Londynie. Za okazaną mi pomoc ze strony pracowników Studium bardzo dziękuję.



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

KRZYSZTOF A. TOCHMAN, HISTORYK:

KĄŻDY „CICHOCIEMNY”, KTÓRY PO 1945 R. POZOSTAŁ W POLSCE, BYŁ NARAŻONY NA REPRESJE WŁADZ KOMUNISTYCZNYCH. BYLI INWIGILOWANI, SZANTAŻOWANI, WIĘZIENI. DWUNASTU ZAMORDOWANO, W WIĘKSZOŚCI W SFINGOWANYCH PROCESACH. PONAD TRZYDZIESTU TRAFIŁO DO SOWIECKICH ŁAGRÓW.

► **PATRYCJA BUKALSKA: „Cichociemni” byli wielkim polskim osiągnięciem w czasie II wojny światowej. Ale droga nie była łatwa: dużo czasu upłynęło, zanim kapitanowie Maciej Kalenkiewicz i Jan Górski przekonali zwierzchników i potem Brytyjczyków do tego pomysłu. Dlaczego?**

KRZYSZTOF TOCHMAN: Realizacja idei trwała długo, choć jej początki datują się jeszcze przed wojną: pierwsze grupowe skoki odbyły się w Legionowie-Wieliszewie w 1937 r. Przegrana wojna polska 1939 r. i zainstalowanie się rządu w Paryżu, a później w Londynie i konieczność utrzymania łączności z okupowanym krajem zmuszała do działania. Kalenkiewicz i Górski już w grudniu 1939 r. wystąpili do Naczelnego Wodza z projektem ustalenia stałej łączności z krajem. Chodziło o przedostanie się pod okupację niemiecko-sowiecką drogą powietrzną, przez lądowanie alianckiego samolotu na tajnym lądowisku w Polsce lub przez skok ze spadochronem. Obaj oficerowie opracowali kilka referatów dla przybliżenia sprawy, w którą głęboko wierzyli. Jednocześnie zgłosili grupę 16 ochotników-oficerów, którzy chcieli wziąć udział w pierwszym skoku. Sami też umieścili się na liście.

Naprzeciw wyszły im polskie władze, wtedy w Paryżu, które też myślały o usprawnieniu łączności. W kraju już od końca września 1939 r. działała organizacja podziemna,

PIĘKNI, dwudziestoletni

Służba Zwycięstwu Polsce, przemianowana potem na Związek Walki Zbrojnej. Dyrektywy z Francji musiały do niej docierać, kraj potrzebował też specjalistów do walki bieżącej. Polskie władze wojskowe wystąpiły do aliantów o przydzielenie samolotu bombowego. Ale tymczasem, w czerwcu 1940 r., nastąpiła szybka kapitulacja Francji i sztab Naczelnego Wodza trafił na Wyspy Brytyjskie. Tam wznowiono prace nad utworzeniem nowej specjalnej formacji. W sztabie gen. Sikorskiego powstał nowy Oddział Specjalny (zwany Oddziałem VI lub Krajowym), którego szefem został pułkownik Józef Smoleński. I to on ostatecznie przeforsował całą sprawę w sztabie i przystąpił do realizacji założeń opracowanych przez Wydział Studiów i Szkolenia Spadochronowego Oddziału III Sztabu Naczelnego Wodza; w jego składzie byli ppłk Wilhelm Heinrich, kapitanowie Jan Górski i Maciej Kalenkiewicz, oraz lotnicy kpt Lucjan Fijuth i ppłk Stanisław Olszewski.

► **Czy idea przerzucania specjalnie szkolonych żołnierzy taką drogą była nowatorska? We wspomnieniach „cichociemnych” można przeczytać, że im samym pomysł zrzucenia do kraju na spadochronie wydawał się zaskakujący.**

Pomysł był niezwykły. Odległość robiła swoje. O czymś podobnym myśleli również Brytyjczycy, którzy w ramach nowo powołanej struktury – Kierownictwa Operacji Specjalnych (*Special Operations Executive*, SOE) – chcieli prowadzić tajne akcje dywersyjne przeciw Niemcom w krajach okupowanej Europy. Powstała więc polska sekcja SOE. A przede wszystkim trzeba było powołać ośrodki szkolenia dywersyjnego i spadochronowego. W październiku 1940 r. w brytyjskim ośrodku spadochronowym koło Manchesteru przeprowadzono pierwszy polski kurs. Trwał dwa tygodnie i ukończyło go 12 oficerów, wśród nich Kalenkiewicz.

► **Kim byli? Czy możemy naszkicować portret typowego „cichociemnego”?**

Przede wszystkim chodziło o nabór młodych ochotników o dobrej kondycji fizycznej, inteligentnych, przedsiębiorczych i z samodyscypliną, do tego świadomych ryzyka, jakie mieli ponosić. Twardych i odważnych. Początkowo nabór odbywał się w 4. Brygadzie Kadrowej Strzelców stacjonującej w Szkocii, na bazie której powstała później słynna Samodzielna Brygada Spadochronowa pod dowództwem gen. Stanisława Sosabowskiego. Ale nabór ochotników prowadzono też w innych oddziałach, właściwie we wszystkich formacjach, zarówno na Wyspach Brytyjskich, jak i później w Afryce czy na Bliskim Wschodzie.

► **Stanisław Bałuk, jeden z ostatnich żyjących „cichociemnych”, mówił mi, że w naborze chodziło zwłaszcza o to, aby to byli ludzie inteligentni. Sprawność fizyczna była elementem ważnym, ale dodatkowym.**

Tak, zgadza się. Chodziło głównie o zgranie inteligencji z warunkami fizycznymi.

Kandydaci mieli ciężkie szkolenie, także w obsłudze różnych rodzajów broni, musieli przejść szereg kursów uzupełniających i wykonać skok ze spadochronem. Nie każdy o tym wie, ale niektórzy oficerowie lotnictwa, jak np. płk Jan Biały ps. „Kadłub”, ćwiczyli również na zdobycznych samolotach niemieckich.

► **Ile lat miał najstarszy „cichociemny”?** Najstarszym był gen. Tadeusz Kossakowski, ps. „Krystynek”, w chwili skoku miał 56 lat. Najmłodszy, sierżant Kazimierz Śliwa – pseudonim „Strażak II”, urodził się w roku 1925 i w chwili skoku miał 19 lat. Żyje, mieszka w kraju. Najczęściej byli to ludzie bardzo młodzi. Przeciętna wieku to było dwadzieścia kilka lat.

► **Jakie zadania wykonywali w konspiracji?**

Zwykle zajmowali się dywersją. Pierwsi skoczki zostali przydzieleni do pionu tzw. walki bieżącej, to była struktura działająca pod nazwą Związek Odwetu. Wielu trafiło też do „Wachlarza”: operacji wywiadowczo-dywersyjnej, prowadzonej od 1941 r. na zapleczu niemieckiego frontu wschodniego, na terenach położonych na wschód od granicy polsko-sowieckiej z 1939 r.; działalność „Wachlarza” sięgała po Mińsk i Kijów. Później przerzucano do Polski głównie specjalistów z różnych dziedzin: tzw. legalizacja (produkowanie fałszywych dokumentów) czy łączność, lotnictwo, broń pancerna oraz wywiad. Z punktu widzenia aliantów najważniejszy był właśnie wywiad.

► **Wielu skoczków wracało do Polski po kilku latach nieobecności. Ponowne zstąpienie z krajem było trudne? Trafiali do innego miejsca niż to, które zostawili.**

Lepiej powiedzieć chyba o powodach, dla których wybrali pracę w okupowanym kraju. Oczywiście, na pierwszym miejscu była służba ojczyźnie, byli to ludzie z pokolenia wychowanego w duchu bardzo patriotycznym. Ale mieli też motywacje bardziej prozaiczne: po prostu chcieli robić coś sensownego, podczas gdy na Wyspach Brytyjskich się nudzili – do roku 1944 nie było jeszcze drugiego frontu w Europie. Niektórzy chcieli też zobaczyć pozostawione rodziny, żony, dziewczyny... Ale zasadniczym motywem był patriotyzm: chcieli czynnie walczyć z wrogiem.

► **Ostatnia ekipa „cichociemnych” została zrzucona w grudniu 1944 r. Jakie miała zadanie? Los Polski wydawał się już przesądzony.**

Ostatni skok odbył się w nocy z 26 na 27 grudnia 1944 r., ekipa wylądowała w Nowosądeckiem koło Szczawy. Składała się głównie z oficerów łączności. Ich zadaniem było przygotowanie działalności podziemnej w nowych warunkach, czyli po zajęciu Polski przez armię sowiecką. Wśród nich byli podporucznicy: Przemysław Bystrzycki, Bernard Bzdawka, Stanisław Mazur, Bronisław Czepczak-Górecki, Jan Matysko i ka-

prał Jan Parczewski, na czele z majorem Adamem Mackusem, dowódcą radiostacji dyspozycyjnej Naczelnego Wodza Nr 06.

► **Był to chyba bardzo trudny skok? Wcześniej skakali po zwycięstwo, a tym razem sytuacja była beznadziejna, nie bardzo było wiadomo, czego się spodziewać.**

Tak, tym bardziej że początkowo skoczki wie ci w większości pozostali izolowani, bo wkrótce, w połowie stycznia, ruszyła sowiecka ofensywa. Później jednak wzięli udział w konspiracji powojennej: w organizacji „NIE” oraz w WiN-ie. Ale wszyscy do końca wierzyli w zwycięstwo i słuszne idee.

► **Co działo się z „cichociemnymi” po 1945 r.?**

Każdy „cichociemny” był narażony na represje sowieckie i polskich władz komunistycznych. A zostało ich wtedy w kraju jeszcze ponad stu – po tym, jak kilkudziesięciu zginęło w walce pod okupacją niemiecką, a kilkudziesięciu, którzy uczestniczyli w Powstaniu Warszawskim, poszło najpierw do niewoli, a po wyzwoleniu obozów jenieckich przez armie alianckie znalazło się w Londynie. Po 1945 r. część „cichociemnych”, widząc, jaka jest sytuacja, zdecydowała się samodzielnie na ucieczkę na Zachód, przekradając się do zachodnich stref okupacyjnych w Niemczech lub na południe – do Włoch i stacjonującego tam II Korpusu Polskiego. Każdy, kto potem pozostał w kraju, był narażony na prześladowania. Dwunastu „cichociemnych” zostało zamordowanych przez polskich komunistów, w większości w sfingowanych procesach. Kilkudziesięciu zostało wywiezionych do sowieckich łagrów. Jak wynika z najnowszych badań, wszyscy pozostali w kraju byli inwigilowani przez Urząd Bezpieczeństwa i Służbę Bezpieczeństwa, prawie do 1989 r. Proponowano im współpracę, szantażowano... Znamy niestety kilkadziesiąt, ponad 40 takich przypadków, gdy „cichociemny”, wojenny bohater, uległ szantażowi i szedł na współpracę z bezpieczeńką, z różnych przyczyn. Kilku uczyniło to całkiem dobrowolnie, zgłaszając swoje usługi, pobierając wynagrodzenie. Jeden przyjechał nawet z Zachodu...

Ale niezależnie od tego, czy zostali w Polsce, czy na Zachodzie, ich powojenny los nie był łatwy. Gdyby po 1945 r. Polska nie znalazła się pod sowiecką dominacją, ale pozostała krajem wolnym, tworzyliby zapewne elitę nowej armii polskiej. Ale stało się inaczej. Tymczasem, pamiętajmy, byli to ludzie w większości bardzo młodzi, którzy edukację zakończyli siłą rzeczy na maturze. Nie mieli zawodu. Musieli się na nowo wszystkiego uczyć. ♦

→ KRZYSZTOF A. TOCHMAN jest historykiem, pracownikiem Biura Edukacji Publicznej IPN w Rzeszowie. Autor „Słownika biograficznego cichociemnych” (dotychczas wydano trzy tomy) i 2-tomowej książki „Z ziemi obcej do Polski. Losy żołnierzy PSZ na Zachodzie, którzy powrócili do kraju po II wojnie światowej”. W IPN prowadzi m.in. projekt badawczy poświęcony „cichociemnym” i ich powojennym losom.

JEJ SŁUŻBA

Odeszła 10 stycznia 2009 r.; gdyby dożyła 19 marca tegoż roku, miałaby równo 100 lat. Podczas wojny odznaczona dwukrotnie Orderem Wojennym *Virtuti Militari* i pięciokrotnie Krzyżem Walecznych, a po 1989 r. Orderem Orła Białego i tytułem Kustosza Pamięci Narodowej, przyznawanym przez IPN. Kim była? I dlaczego mówiła, że jej życie było szczęśliwe?

W chwili, gdy przyszła na świat, jej rodzinny Toruń należał jeszcze do zaboru pruskiego. Uczyła się w niemieckiej szkole i do II. roku życia nie mówiła po polsku. Wiele lat później, podczas II wojny światowej, znajomość niemieckiego stanie się nieocenioną umiejętnością. Ale to przyszłość. Na razie jej osobowość kształtuje rodzina: Elżbieta jest najmłodszą z siedmioro-ga dzieci urzędnika sądowego; matka zajmuje się wychowaniem tej gromadki. Rodzice, choć niezamożni, dbają o kształcenie dzieci.

W Niepodległej

Wszelkoniemnie uzdolniona, w 1927 r. Elżbieta kończy polskie już gimnazjum humanistyczne w Toruniu; cztery lata później uzyskuje absolutorium na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego. To początek fascynacji pracą pedagogiczną. Wcześniej, w 1930 r., zaczyna się jej „przygoda”, która potrwa do końca życia i którą nazywać będzie służbą ojczyźnie. A wszystko zaczęło się od akademickiego hufca Przystosobienia Wojskowego Kobiet. „Ruch pewiacki zagarnął mnie bez reszty. To było takie całkowite zaprzeczenie się idei” – wspominała w jednym z wywiadów przyszła instruktorka PWK.

Równoległe zdobywała kolejne stopnie pedagogiczne (uprawnienia do uczenia matematyki w gimnazjach prywatnych i państwowych, z wykładowym polskim i niemieckim) oraz pewiackie stopnie instruktorskie, łącznie z najwyższym: oficer dyplomowany. Na obozach PWK poznawała wybitne kobiety. Miały one doświadczenia wojenne z lat 1914-20 i wynikające z nich przeświadczenie, że kobiety też należy przygotować do pomocy, gdyby konieczna stała się obrona świeżo wywalczonej niepodległości.

W Garczynie pod Kościerzyną, na obozie, Zawacka poznała Marię Wittekównę – oficerkę Polskiej Organizacji Wojskowej, założycielkę PWK, późniejszą komendantkę Organizacji Przystosobienia Wojskowego Kobiet, a w latach 1939-45 szefką Wojskowej Służby Kobiet w Komendzie Głównej AK (w 1991 r. jako pierwsza kobieta w dziejach polskiego wojska otrzyma ona awans na generała; Zawacka – w 2006 r., jako druga).

Na kolejnych obozach Elżbieta Zawacka nawiązywała przyjaźnie, bezcenne później w konspiracji. Uczyła i prowadziła działalność pewiacką w różnych miejscach: w Sompólnie, Otorowie, Toruniu, Tarnowskich Górach. W 1937 r., po uzyskaniu najwyższego stopnia instruktorskiego, została komendantką Rejonu Śląskiego PWK.

W okresie międzywojennym w Polsce przeszkolono około miliona dorosłych kobiet – do pomocniczych służb na wypadek wojny: sanitarnej, obrony przeciwlotniczej, przeciwpożarowej. Wiele z nich znajdzie się później w konspiracji, a po tzw. wyzwoleniu – w działalności naukowej i społecznej. Ale to przyszłość. Teraz nadchodzi sierpień 1939 r. Rozkaz mobilizacyjny zastaje Zawacką 26 sierpnia na obozie instruktorskim w Spale. Wraca do Katowic. Za chwilę zacznie się jej kolejna służba: wojenna.

„Zo” z „Zagrody”

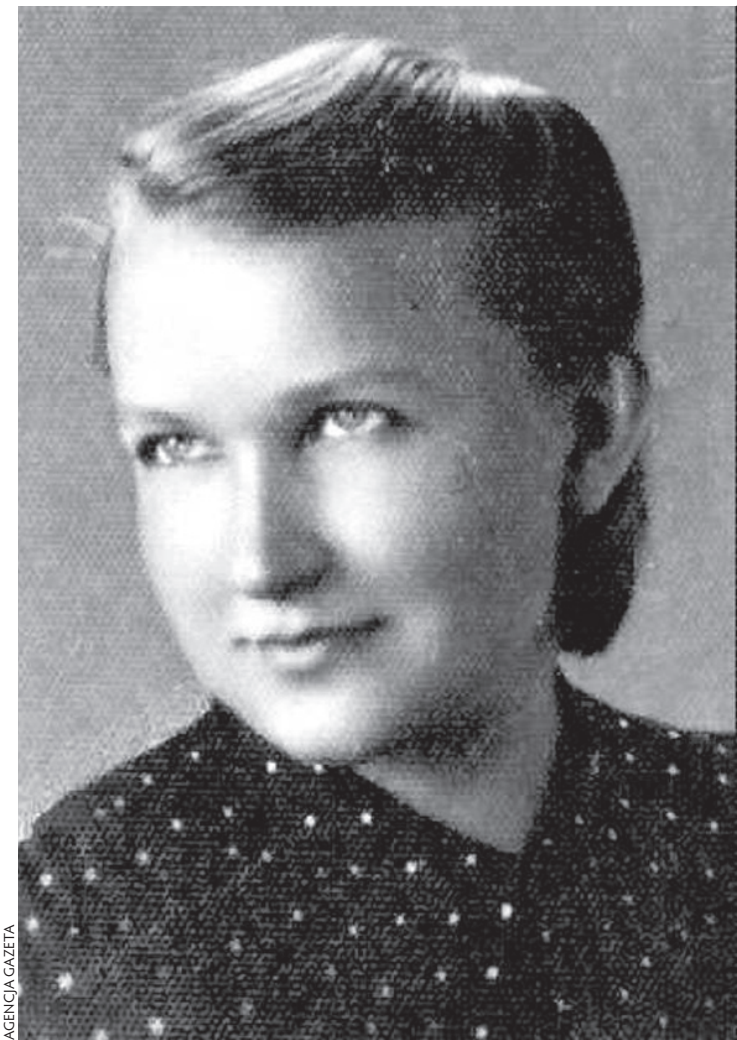
Działa szybko. „Skoszarowałam tyle instruktorek, ile się dało, w mundurach z plecakami. Reszta powoli zjeżdża z wakacji. 1 września nalot na Katowice. Dostałam 2 września rozkaz, aby opuścić miasto”. Garstka pewiaczek pod dowództwem Zawackiej – umundurowanych, zorganizowanych (ewenement w morzu bezładnie przemierzających się cywilów) – zaczyna wędrówkę. Docierają do Lwowa, tu meldują się kome-

„MIAŁAM SZCZĘŚLIWE ŻYCIE”

– TAK ZWYKŁA MÓWIĆ ELŻBIETA ZAWACKA,
LEGENDA KONSPIRACJI I JEDYNA KOBIEITA
W GRONIE „CICHOCIEMNYCH”.

HANNA MACIEJEWSKA-GRACZ
TOMASZ CHINCIŃSKI

Elżbieta Zawacka w latach 30.
oraz w maju 2003 r.



AGENCJA GAZETA

dantce Wittekównie. Wkrótce Lwów otaczają Niemcy, potem 22 września miasto zajmują Sowieci. Zawackiej udaje się wy dostać, dociera do Torunia. To początek niezwykłego splotu szczęśliwych okoliczności i fantastycznej wprost umiejętności wychodzenia z opresji, które będą jej towarzyszyć w kolejnych latach.

Czuje się żołnierzem. W październiku 1939 r. rusza do Warszawy, by zameldować się do dalszej służby. Nawiązuje kontakt z Marią Zawodzińską, działającą już w Służbie Zwycięstwu Polski (przemianowanej potem na Związek Walki Zbrojnej, a w 1942 r. na Armię Krajową). 2 listopada 1939 r. zostaje zaprzysiężona przez Janinę Karasiównę, szefką łączności konspiracyjnej SZP. Przyjmuje pseudonim „Zelma”.

Wraca na Śląsk jako szef łączności w sztabie Podokręgu Zagłębia Dąbrowskiego. Odtąd z konspiracyjną łącznością będzie związana przez całą okupację – jako szef łączności na Śląsku i jako kurierka „Zagrody” (Wydziału Łączności Zagranicznej Komendy Głównej ZWZ-AK; inne kryptonimy to „Zenobia”, „Łza”, „Zaloga”). Tu będzie nosić pseudonim „Zo”. Od 1 lipca 1942 r. poszukiwana listem gończym przez gestapo, pełni funkcję zastępczyni kierowniczką „Zagrody”. Do Wydziału tego należało organizowanie dróg przerzutu poczty i wysłanników Komendanta Głównego AK do sztabu Naczelnego Wodza w Londynie.

Nie rezygnuje z tajnej pracy pedagogicznej i własnego do kształcenia się. Uczy w warszawskim Gimnazjum Żeńskim im. Żmichowskiej, studiuje pedagogikę społeczną w tajnej Wolnej Wszechnicy Polskiej.

W okupowanej Europie

We wszystkich biografiach eksponowany jest fragment jej życiorysu, gdy przemierza okupowaną Europę jako emisariuszka dowództwa AK, zmierzając do Anglii. Potem zaś jej szkolenie jako „cichociemnej” – jedynej kobiety w gronie 316 – i powrót do kraju, na spadochronie. Ona sama, gdy o tym opowiadała, przyznawała, owszem, że były to epizody ważne, ale jako ważne zadanie dla konspiracji.

A jednak były to historie niezwykle, nawet jak na tamten czas. Bo nie było to zwykłe przenoszenie poczty kurierskiej – emisariusz znał treść przewożonych wiadomości, mógł je wyjaśniać, interpretować. „Zo” została wybrana ze względu na znajomość języków (prócz niemieckiego znała także angielski, francuski i hiszpański), a przede wszystkim – doświadczenie kurierskie: wielokrotne wyjazdy do Berlina, zorganizowanie komórki łączności zagranicznej działającej na szlaku Berlin–Alzacja–Szwajcaria, Berlin–Lotaryngia–Francja (do kwietnia 1942 r. ponad 100 razy przekraczała różne granice). Przełozeni widzieli też, że radzi sobie w sytuacjach ekstremalnych.

„Zo” miała dwa zadania: usprawnienie łączności kurierskiej na trasie Londyn–Warszawa i ustalenie statusu żołnierskiego kobiet służących w WSK w ramach AK (co nie było oczywi-

ste). Wspominała: „Muszę opowiedzieć Władysławowi Sikorskiemu i jego pracownikom o tym, co dzieje się w Polsce, oni rozumieli z tego niewiele. (...) Poza tym mam przedstawić pogląd »Grotka« na służbę wojskową kobiet. Generał bardzo ją docenił, wiedział, że Armia Krajowa bez kobiet po prostu nie mogłaby działać. Ale myśmy nie miały praw żołnierskich, nie mogłyśmy być oficerami z władzą dyscyplinarną”. Jak ważne było przyznanie praw kobietom-żołnierzom AK, okaże się po upadku Powstania Warszawskiego.

Frau Kubica, Madame Riviere

Wyruszyła więc z kolejnym zadaniem jako Elizabeth Kubica, po drodze zmieniając się w madame Elise Riviere; w Anglii pojawiła się już jako Elizabeth Watson. „Cichociemny” Kazimierz Biłski (w Londynie pracował w Oddziale VI Sztabu Naczelnego Wodza, odpowiedzialnym m.in. za łączność z Polską) tak wspominał jej wyprawę: „Na owe czasy przybycie »Zo« do nas stanowiło niezwykle wydarzenie, była ona bowiem pierwszą emisariuszką-kobietą, i to o bardzo dużych pełnomocnictwach”. Oczekiwano jej niecierpliwie, a „»Zo« szła przez Europę jak wicher. Każda wieść o jej podróży, nadawana z punktów przejściowych, była spóźniona i odwrotnie – każde nasze polecenie o skierowanie »Zo« przybywało do baz już po jej odejściu”.

Nie było to jednak tak proste, jak wynikało z relacji Biłskiego. Zawacka wyruszyła kilkakrotnie (najpierw w grudniu 1942 r.), zawracała, trzykrotnie usiłowała przejść Pireneje. Za czwartym razem dotarła do Barcelony, a potem przez Madryt i Gibraltar, okrętem płynącym w konwoju, 4 maja dotarła do Londynu. Trwało to w sumie około 12 tygodni. Pamiętajmy: jest rok 1943, wojna.

Biłski wspominał: „Przed nami stała niewiasta średniego wzrostu, blondynka, pełna życia i temperamentu... Spojrzała na nas przez okulary i z dużą pewnością siebie powiedziała: – A to właśnie panowie prowadzą łączność z nami! W powiedzeniu tym było coś, czego nie mogliśmy wziąć ani za wyraz radości, ani entuzjazmu. Miało ono po prostu charakter wymówki!”. Potem „z niezmożoną energią egzaminowała całe biuro. Szukała naszych błędów, niedopatrzeń, pomyłek. Wnikła w każdą sprawę, w każdą zawilosc (...). Bez przerwy wynajdywała coraz to trudniejsze zagadnienia i niesamowite zawilosci. Stale narzekała na zaniedbanie, słabe wyniki w pracy itp.”.

Wybiegając w przyszłość, zaznaczmy, że tak ujęta charakterystyka osobowości Zawackiej pozostała aktualna. O czym przekonali się także jej przyjaciele – oraz my, jej współpracownicy, kilkadziesiąt lat później.

Skok do Polski

W Londynie pracowała intensywnie, zapoznając z sytuacją w kraju emigracyjne władze cywilne i wojskowe (m.in. Sikorskiego; miała z nim tylko jedno spotkanie, podczas którego zo-



ROBERT GORECKI / AGENCJA GAZETA

**„Przed nami stała niewiasta
średniego wzrostu, blondynka,
pełna życia i temperamentu...
Spojrzała na nas przez okulary
i z dużą pewnością siebie
powiedziała:
– A to właśnie panowie
prowadzą łączność z nami!”**

Po demobilizacji zagląda do Torunia, ale szybko wraca do Warszawy, by nawiązać kontakty z kolejną konspiracją niepodległościową. Działa w Delegaturze Sił Zbrojnych (oczywiście łączność i kolportaż) Obszaru Zachodniego oraz w Zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość. Podejmuje również drugie studia magisterskie, a następnie doktoranckie – pedagogika społeczna. Przedwojenna i okupacyjna współpraca z Marią Wittekówną trwa; w 1946 r. usiłują „wskrzесиć” działalność Przystosowania Wojskowego Kobiet w Państwowym Urzędzie WFIPW. Ale to już inna Polska.

Dawna „Zo” była nauczycielką, wraca więc do szkolnictwa: uczy w Łodzi, Toruniu, Olsztynie. Ale tu dopadają ją władze. Prawie ukończona praca doktorska zostaje zarekwirowana podczas rewizji 5 września 1951 r. w olsztyńskim mieszkaniu Zawackiej. Tego dnia zostaje aresztowana przez UB i osadzona w więzieniu mokotowskim pod zarzutem szpiegostwa. Wskutek odwołań i rewizji wyroki ulegają zmianom: najpierw 5 lat, następnie 7, w końcu 10. Siedzi w Fordonie, Grudziądzu, Bojanowie. 24 lutego 1955 r. zostaje zwolniona dzięki amnestii i zachynającej się już „odwilży”.

Na nowo odnajduje się dzięki pasji pedagogicznej. Z uporem wraca do doktoratu (temat: „Szkoła korespondencyjna i jej uczniowie”). Kształcenie dorosłych staje się jej specjalnością. Broszurka wydana w 1995 r. nakładem autorki: na okładce tytuł „Kształcenie zdalne”, a w środku myśli o dydaktycznym wykorzystaniu filmu, radia, telewizji, telepedagogice, wielomedialnym kształceniu zdalnym. Doktorat broni w 1965 r., z trudem – oficer AK wciąż nie jest mile widziany przez władze PRL.

„Historyk” na celowniku SB

Z biegiem lat opanowuje ją jeszcze jedna idea: utrwalanie pamięci o konspiratorach, szczególnie kobietach z wszelkich formacji (AK, polska armia na Zachodzie i na Wschodzie, konspiracja powojenna).

Już po wyjściu na wolność w 1955 r. uznaje, że formą oporu i sposobem na przetrwanie w PRL może być zachowanie tej pamięci. Zaczyna indywidualnie: dociera do koleżanek z przedwojennego PWK i wojennej WSK, namawia do spisywania wspomnień. Mieszkając przez pewien czas w Gdańsku, organizuje „niedziele pewiaczek”. W jej prywatnym archiwum przybiera relacji. Chce dotrzeć do jak największej liczby weteranów; nie tylko dowódców, także tych, których udział był nawet epizodyczny.

Jako pracownik naukowy – gdańska Wyższa Szkoła Pedagogiczna, następnie Uniwersytet Gdański i UMK w Toruniu – rozumie, że samo gromadzenie relacji to za mało. W połowie lat 70. zaczyna przygotowywać monografię „Zagrody”. Latem 1976 r. udaje się jej wyjazd do Londynu (rektor UMK poświęca jej wyjazd służbowy). Przez dwa miesiące Zawacka szuka materiałów związanych z „Zagrodą” w archiwum Studium Polski Podziemnej i w Muzeum gen. Sikorskiego. Sporządza trzy tecknotki i fotokopie kilkuset dokumentów. Ale nie będzie jej dane ich wykorzystać: gdy wraca, we wrześniu 1976 r., celnicy na Okęciu konfiskują wszystkie materiały – uznane za szkodliwe dla interesów PRL.

Wiadomość o konfiskacie trafia do toruńskiej SB. Zaczynają się kolejne szykany, również ze strony uczelni. Polski Komitet UNESCO w Warszawie nie zatwierdza jej kandydatury na szefa, mającego powstać w Toruniu, Polskiego Ośrodka Naukowo-Informacyjnego w zakresie kształcenia zdalnego. Nie uwzględniono rekomendacji Międzynarodowej Rady Kształcenia Korespondencyjnego. Nie powołano planowanego Ośrodka. Władze UMK opracowały strukturę mającego powstać Instytutu Pedagogiki, ale bez planowanego Zakładu Andragogiki, którym miała kierować Zawacka.

To nie koniec. SB zakłada kwestionariusz ewidencyjny o kryptonimie „Historyk”. Nęka ją telefonami, konfiskuje pocztę. Esbecy nachodzą ją w mieszkaniu, wypytyują rodzinę i sąsiadów. W 1976 r. zostaje wezwana na komisariat, na przesłu-

chanie – w tym czasie esbecy nielegalnie zakładają podsłuch w jej mieszkaniu.

Skutek – to choroba serca. W 1978 r. Zawacka przechodzi na emeryturę. SB zawieszają inwigilację, na pewien czas. A to jest znowu okres intensywnego zbierania relacji i zabiegania w Komisji Weryfikacyjnej Koła Żołnierzy AK w Londynie o przyznanie Krzyża AK dla 546 żołnierzy Pomorskiego Okręgu. Swe działania musi skrzętnie ukrywać – to kolejna konspiracja. Listy słane do Londynu giną, dlatego każdy sporządza w czterech kopiach i wysyła na cztery różne adresy. Z odznaczeniami dociera do kombatantów osobiście lub za pośrednictwem zaufanych osób.

Plany bez końca

Korzystając z szansy, jaką stwarza rok 1980, angażuje się w organizowanie autentycznych struktur kombatanckich. Wchodzi do prezydium Rady Głównej Kombatantów AK przy NSZZ „Solidarność”, kieruje Komisją Historyczną tej rady.

13 grudnia 1981 r. funkcjonariusze SB i MO nie zastają jej w domu – przed internowaniem ratuje ją pobyt w sanatorium. SB ponownie zakłada jej kwestionariusz ewidencyjny, kryptonim „Penelopa”. Poniekąd trafny: „Zo” ma przecież kontakty z niepokornym „elementem”, akowcami, jest inicjatorką Społecznego Stowarzyszenia Obrony Praw Człowieka w Toruniu, jest też wykładownicą tajnego „latającego uniwersytetu”.

W 1987 r. w Toruniu, w piwnicy kamienicy przy ul. Kopernika, zawiązuje się Klub Historyczny przy toruńskim Oddziale Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, zajmujący się dziejami pomorskiej AK. To kolejna inicjatywa Zawackiej: „Powstała nagła potrzeba – wspominała później – przyspieszenia pracy, znalezienia drogi do ogółu jeszcze żyjących konspiratorów i wtedy pojawił się pomysł powołania Klubu”.

Nowe projekty wypełniają jej czas. „Ona ma niekończące się plany, jeszcze jednego nie skończy, a już dziesięć na nią czeka. Ja tak na oko liczyłam, Ona ma plany na 30 lat” – pisze w jednym z listów Irena Jagielska-Nowakowa (podczas okupacji łączniczka szefa sztabu Okręgu Pomorskiego AK). W toruńskim mieszkaniu Zawackiej powstaje projekt pierwszego statutu Stowarzyszenia Żołnierzy AK (dziś Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej).

„Nasza służba trwa”

Ale najukochańsze jej „dziecko” to Fundacja „Archiwum Pomorskie”, początkowo tylko „Armii Krajowej” (legalnie funkcjonująca od 1990 r.), a z czasem „Archiwum i Muzeum AK oraz Wojskowej Służby Polek” oraz „Memoriał im. Marii Wittek”.

Poświęca temu całą energię; wciąga wolontariuszki (głównie kombatantki), społeczników (naukowcy z Torunia i Gdańska), etatowych pracowników, młodzież. W jej zamyśle ma to być – i jest nadal – instytucja żywa, gdzie nie tylko gromadzone są dokumenty, ale spotykają się ludzie różnych pokoleń. I tak będzie, dopóki żyją weterani i osoby umiejące przekazać kolejnym generacjom pamięć o latach 1939-45 i następnych.

Pomysł powołania Fundacji powstaje w atmosferze zbliżającego się przełomu końca lat 80.; Elżbieta Zawacka uznaje, że najważniejszym celem jest teraz zorganizowanie Archiwum Armii Krajowej przy Stowarzyszeniu Żołnierzy AK, do którego mogłaby przekazać również swe zbiory. Powstaje Fundacja Archiwum i Muzeum AK im. Stefana „Grotą” Roweckiego w Warszawie; niestety, nie rozwija działalności. To sprawia, że Zawacka – wraz z profesorami Stanisławem Salmonowiczem i Grzegorzem Górskim – tworzą w Toruniu Fundację „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej”.



Dziś Fundacja działa nadal jako swego rodzaju społeczny instytut naukowy – choć nie ma już jej ducha sprawczego. Gromadzi materiały, organizuje sesje naukowe, wystawy i zajęcia dla młodzieży, upamiętnia ślady działań konspiracyjnych, przygotowuje wydawnictwa (ponad 50 tomów opracowań i biuletyn). Realizuje testament Elżbiety Zawackiej: „Nasza służba trwa”.

Tak, to jednak było szczęśliwe życie. ◆

→ HANNA MACIEJEWSKA-GRACZ jest historykiem-archiwistą. W latach 1992-99 pracownik, następnie przez kilka lat społecznie wiceprezes Fundacji „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek”.

→ Dr TOMASZ CHINCIŃSKI jest historykiem. Był pracownikiem Fundacji „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek”, a następnie IPN. Obecnie pracuje w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Ostatnio wydał książkę „Forpoczta Hitlera. Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 roku” (2010).

stała odznaczona trzykrotnie Krzyżem Walecznych, do kolejnego spotkania nie doszło wskutek katastrofy gibraltarskiej), zabiegała przy tym o prawa kobiet-żołnierzy. Uczyla też kandydatów na „cichociemnych” zasad konspiracji w Polsce i szkoliła kobiety-żołnierzy na specjalnych obozach.

To nie była łatwa misja. Natrafiła na opór materii: niechęć czy niemożność zrozumienia specyfiki krajowej, trudniejszą niż pokonanie Pirenejów. Zorientowawszy się w bezcelowości dalszego pobytu w Londynie (jedynie zabiegi o prawa kobiet-żołnierzy okazały się owocne: prezydent Rzeczypospolitej wydał dekret o ochotniczej wojskowej służbie kobiet), zabiegała o powrót do Polski. Odbiła przyspieszony kurs spadochronowy, podczas którego zwichnęła nogi w obu kostkach. Ale „zabandażowali mi te nogi na sztywno i w nocy z 9 na 10 września poleciliśmy do Polski”. Zrzut o kryptonimie „Neon 4” miał miejsce w placówce odbiorczej „Solnica”; to majątek Osowiec na Mazowszu: 3 skoczków, 6 zasobników, 1 paczka.

Znów w Polsce, podjęła służbę w „Zagrodzie” – którą przebrała ogromna wyspa w marcu 1944 r., spowodowana zdradą. Niemcy aresztowali około stu żołnierzy „Zagrody”. Dowództwo ocalało – „Zo” i „Marcysia” (Emilia Malessa, 1909-1949, szef „Zagrody”). Po wyspie „Zo” musiała odbyć „kwarantannę” w klasztorze niepokalanek koło Sochaczewa – w roli postulantki spędziła cztery miesiące.

A potem nastął 1 sierpnia 1944 r. „Nareszcie nadszedł dzień, na który w męce i w zaciętości czekaliśmy pięć, jakże nieskończenie długich lat. Warszawa walczy!” („Biuletyn Informacyjny”, 2 sierpnia). „Zo” otrzymuje przydział do Komendy Głównej AK, jako referentka szefostwa Wojskowej Służby Kobiet; walczy.

Gdy Powstanie upada, trzeba podjąć decyzję: czy kobiety z WSK idą do niewoli, jako żołnierze AK, czy też do cywila albo dalszej pracy podziemnej? „Zo” otrzymuje rozkaz wyjścia z miasta z cywilami i kontynuowania konspiracji. Jej zadaniem jest powiązanie zerwanej łączności zagranicznej. Po dotarciu do Krakowa nawiązuje kontakt radiowy z Londynem, osobiście sprawdza trasy kurierskie; przygotowuje przerzut do Szwajcarii emisariusza Jana Nowaka Jeziorańskiego (późniejszego szefa RWE).

W „wyzwolonym” kraju

19 stycznia 1945 r. gen. Leopold Okulicki wydaje rozkaz rozwiązania AK: „Żołnierze Armii Krajowej! Daję Wam ostatni rozkaz. Dalszą pracę i działalność prowadźcie w duchu odzyskania pełnej niepodległości Państwa i ochrony ludności przed zagładą. Starajcie się być przewodnikami Narodu i realizatorami niepodległego Państwa Polskiego. W tym działaniu każdy z Was musi być dowódcą”. To fragment testamentu Polski Podziemnej, który Zawacka będzie potem realizować przez dalsze życie.

STEFAN BAŁUK, „CICHOCIEMNY”:

JEŚLI KTOŚ POWIE, ŻE SIĘ NIE BOI, TO ŁŻE. TO NIEMOŻLIWE, ABY ORGANIZM CZŁOWIEKA W SYTUACJI, GDY JEST PRZYMUSZANY DO CZEGOŚ, NIE BUNTOWAŁ SIĘ PRZECIWIEM TEMU. TO NATURALNA SYTUACJA, NA NIĄ NIE MA LEKARSTWA. MOŻE BYĆ TYLKO SILNA WOLA I OPANOWANIE, NA DRUGIEJ SZALI. DZIĘKI TEMU MOŻNA WYKONAĆ ZADANIE.



ARCHIWUM STEFANA BAŁUKA

STEFAN BAŁUK (ur. 1914) jest obecnie generałem w stanie spoczynku. W latach 30. wstąpił ochotniczo do Szkoły Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, ale został zwolniony ze względów zdrowotnych. W 1939 r. student prawa UW. Po przedostaniu się na Zachód żołnierz 10. Brygady Kawalerii Pancernej, od 1942 r. szkolony na „cichociemnego” (na zdjęciu obok podczas szkolenia spadochronowego). W Polsce od kwietnia 1944 r., w Wydziale Legalizacji Komendy Głównej AK. Uczestnik Powstania Warszawskiego, autor zdjęć dokumentujących Powstanie (pseudonim m.in. „Starba”, „Kubus”). Po wojnie w antykomunistycznym podziemiu, więziony. Autor kilku książek wspomnieniowych. Mieszka na warszawskim Żoliborzu.

Moja życiowa PRZYGODA

► PATRYCJA BUKALSKA: Panie Generale, jak trafił Pan do „cichociemnych”?

STEFAN BAŁUK: Byłem jednym z tych, do których dotarł nabór nakazany przez gen. Sikorskiego, a wszystko zaczęło się od SOE, Kierownictwa Operacji Specjalnych, które powołał Churchill. Zwrócił się do swoich ministrów: „Rozkazuję wam podpalić Europę”. To rozpoczęło działania SOE, czyli kierownictwa walki specjalnej. SOE miało wzmocnić ruch oporu w Europie i współpracowało z Oddziałem VI Sztabu Naczelnego Wodza, tzw. oddziałem współpracy z Krajem.

Zostałem powołany, jak się potem okazało, ze względu na umiejętności laboratoryjno-fotograficzne. Mianowicie jednym z wydziałów towarzyszących SOE był tzw. wydział legalizacji. Ukończyłem kurs oficerów wywiadu, który funkcjonował pod przykrywką kursu administracji wojskowej. Zwykle trwał on 8 miesięcy, ale w moim przypadku trwał 4 miesiące dłużej, bo zostałem zwerbowany do współpracy z prof. Hartmanem, znakomitym chemikiem, który wykładał nam chemię wywiadowczą.

► Czy jako kandydaci, rekrutowani do „cichociemnych”, wiedzieliście od razu, o jaką służbę chodzi?

W moim przypadku zaciąg do służb specjalnych wyglądał mniej więcej tak: któregoś dnia szef sztabu pułku, w którym służyłem w Szkocji, wezwał mnie do biura i mówi: „W następną sobotę masz zameldować się w Dundee, w komendzie miasta. Tam się z tobą spotkają dwaj oficerowie”. „O co chodzi, panie rotmistrzu?” – ośmieliłem się zapytać. Odparł: „Nie wiem, chcąc cię wezwać na jakiś kurs administracji wojskowej, coś takiego”. W Dundee czekało na mnie dwóch oficerów. Jednym z nich był pułkownik Stefan Mayer, szef szkoły oficerów wywiadu. Kurs administracji był przykrywką dla szkoły prowadzonej przez Mayera oraz przez specjalistów z danych branż. Wykłady odbywały się w absolutnej tajemnicy w odizolowanym budynku w Glasgow. Oczywiście, sama akcja zgłoszenia się do służby w kraju, czyli zostania spadochroniarzem Armii Krajowej, odbywała się na zasadzie ochotniczej.

► Skąd nazwa? Słyszałam wersję, że stąd, iż zwerbowani żołnierze znali ze swoich oddziałów nagle, po cichu.

Popularna nazwa tej służby pojawiła się wtedy, kiedy przyszli „cichociemni” dokonywa-

li różnych akcji szkoleniowych, jak np. napaady na bank czy na pocztę w Anglii. Naturalnie przebiegały one za wiedzą władz brytyjskich, ale nie były one uświadamiane tym, których dotyczyły. Taki dyrektor banku nie wiedział, że to imitacja napadu. Akcje odbywały się wieczorami, po ciemku, z zachowaniem tajności, po cichu. Utarła się nazwa, że jest to działanie cicho-ciemne, a zatem i żołnierzy zaczęto nazywać „cichociemnymi”.

► Pamięta Pan swój skok do Polski?

Skoczyłem za trzecim podejściem, dopiero za trzecim razem dotarliśmy na miejsce w odpowiednich do skoku warunkach. Za pierwszym razem leciałem w grudniu 1943 r. i nad Jugosławią zapalił się jeden z silników liberatora [bombowca – red.]. Pilot okazał się znakomitym fachowcem i ugasił silnik w ten sposób, że z dużej wysokości przypikował, aż pęd powietrza zgasił pożar. Jednak droga na tak długim dystansie na trzech pozostałych silnikach była niemożliwa, samolot musiał przelecieć 1500 km z Brindisi we Włoszech do Polski i drugie tyle z powrotem, a do awarii doszło na początku lotu. Musieliśmy zawrócić.

Za drugim razem nadlecieliśmy nad Polskę, przelecieliśmy nad placówką odbioru i wydawało nam się, że jesteśmy u celu. Ale nad ziemią była taka wielka mgła, że pilot uznał, iż nie ma warunków do zrzucenia nas.

Dopiero trzecia moja podróż zakończyła się w powiecie wołomińskim koło Warszawy. Miałem tzw. skok ustany, czyli nie musiałem się przewracać tak, jak ćwiczyliśmy w Anglii; przewrotka służyła ochronie kręgosłupa. Już po chwili trzymał mnie w ramionach jeden z moich przyszłych kolegów, który kierował tą placówką odbioru.

► We wspomnieniach „cichociemnych” często pojawia się wątek przesądów przed skokiem. Podchodząc trzy razy, nie czuł Pan, że nie powinien Pan skakać?

Nie jestem przesądny. Gdybym był, to musiałbym ze trzy razy w ciągu tej wojny zginąć. Trzy razy byłem o krok od śmierci, a jednak wszystko kończyło się dobrze.

► Czy podczas ciężkiego szkolenia miał Pan wątpliwości?

Jeśli komuś taka służba nie odpowiadała, to wracał do swojej jednostki bez żadnych reperkusji ze strony dowództwa. Zresztą czasami powody odmowy były uzasadnione. Pamiętam Stasia Kraszińskiego, który również otrzymał propozycję służby w kraju i po rozmowie z pułkownikiem zrezygnował. Powiedział: „U mnie jest taka sytuacja, że mnie pół Warszawy zna, jak ja się tam pojawię, to będę zaraz rozszyfrowany”.

► W żadnym momencie nie myślał Pan o rezygnacji?

Kwestia odwagi – bo to się z tym wiąże – jest skomplikowana: jeśli ktoś powie, że się nie boi, to łże. Po prostu łże. To niemożliwe, aby organizm człowieka w sytuacji, gdy jest przymuszany do czegoś, nie buntował się przeciw temu. To naturalna sytuacja, na nią nie ma lekarstwa. Może być tylko silna wola i opanowanie, to się kładzie na drugą szalę. Dzięki temu można pełnić służbę, wykonać zadanie.

► Był już rok 1944. Czego się Pan spodziewał w Polsce?

Spodziewałem się tego, na co mnie już w Anglii przygotowano. Na kursach informowano nas o warunkach życia pod okupacją, mieliśmy też dostęp do gazet wydawanych przez Niemców. Mieliśmy kenkarty [okupacyjne dowody tożsamości – red.], wiedzieliśmy, jak to wszystko wygląda. Ta cała nauka odbywała się w Szkocji. Naturalnie, po wylądowaniu było szokującą rzeczą, że jak idzie patrol niemiecki ulicą, to trzeba mu zejść z drogi. Albo nie wsiadać do pierwszej części tramwaju, bo jest przeznaczona dla Niemców itd. W aklimatyzacji

w Polsce pomagały nam tzw. ciotki, panie wyszkolone w tym kierunku, które przemawiały nas po skoku. Szło się na tzw. gorący adres, gospodarze zdawali sobie sprawę, kogo goszczą. Do tego dochodziła tzw. znajomość terenu: w mojej sytuacji to było tak, że jako warszawiak przejechałem Warszawę tramwajem raz i drugi, i już wiedziałem, co się zmieniło. Jeśli chodzi o ubrania, to były one kupowane na tzw. ciuchach we Francji, dostarczane do Londynu, a potem do Glasgow. Nie znajdowała się na nich najmniejsza nawet naszywka mogąca świadczyć o francuskim pochodzeniu. Choć naturalnie zdarzały się sytuacje jak ta, gdy mój kolega wyciągnął nagle w tramwaju z kieszeni bilet metra londyńskiego...

► Jak wyglądały Pana pierwsze chwile w Polsce?

Mój pierwszy gorący adres to była ul. Natołińska, u jednej z „ciotek”. Zjawiłem się i zapytałem „Czy nie kupi pani skarpetek?”, takie było hasło. A „ciotka”, miała na imię Jaga, odpowiedziała: „Chodź, chodź, nie zwracaj głowy skarpetkami”. Potem podniosła słuchawkę telefonu i powiedziała do kogoś: „Przyszła Zosia i przyniosła tę spódnice, którą tak bardzo chciałaś kupić”. Poszła wieść, że „cichociemny” jest na stanie. Zrazem potem zdarzyły się rzeczy śmieszne. Pojechaliśmy z „ciotką” Jagą na Żoliborz, przez pół miasta. Miało tam być miejsce dla mnie u państwa Staszewskich na Mickiewicza. Gdy mieliśmy zapukać, zza drzwi dobiega gwar. Pani Staszewska zagrała zaskoczenie, krzyknęła: „Jak się masz Stefan, Joasia będzie zachwycona!” – mówiła tak o swojej córce. Wchodzę do pokoju i widzę kilka dziewczyn, kilku chłopców, bo Joasia gościła przyjaciół. Do kogo podejść? Która to Joasia? Widzę, że pani domu jest blondynka, to założyłem, że córka też jest blondynka. Podszedłem, powiedziałem: „Cieszę się, że cię widzę, dawno żeśmy w siatkę nie grali” i już jakoś poszło. Rozmawiam dalej z Joasią, żeby rozładować atmosferę, ale widzę, że jeden z chłopców strasznie mi się uważnie przygląda. Okazało się jednak, że był tylko zazdrosny, Joasia była jego dziewczyną. Spotkałem go potem w Powstaniu Warszawskim.

► Na Pana wizytówce jest napisane: „cichociemny”. Czy to dla Pana nadal ważna przynależność?

To była moja największa życiowa przygoda. ♦